

Sebastian Niewiadomski



Ksiądz

TOM I CYKLU: KLER

Odważna Kontrowersyjna
Szokująca



Sebastian Niewiadomski

Książdz

Tom I cyklu: Kler

Copyright © Sebastian Niewiadomski
Copyright © Wydawnictwo Feniks Sebastian Niewiadomski
Olsztyn 2020

Wszelkie Prawa Zastrzeżone
All rights reserved

Redakcja i korekta:
Anna Fiałkowska – Niewiadomska
Anna Siwa

Projekt okładki:
Marta Bobola - Zagożdżon
Zdjęcie na okładce pochodzi z banku zdjęć foter.com

Wydawnictwo:
Wydawnictwo Feniks Sebastian Niewiadomski
ul. Ogrodowa 3/1
11-320 Jeziorany

Numer ISBN: 978-83-956534-0-7

Wszystkie zdarzenia i postaci są fikcyjne. Wszelkie podobieństwa do wydarzeń lub osób są przypadkowe.

Wybrance mojego serca...
Aniu, dziękuję, że we mnie uwierzyłaś.

Luty 1972

1972

kurwa! Na chuj mi to....

Raz, raz.... ja grab jeden...

~~Ala miała kota czy kot miał Alę?~~

~~Dobra, ogarnij się człowieku...~~

12 luty 1972 r.

Dziś są moje urodziny. Piętnaste. Dostałem ten kajet, by zapisywać w nim swoje złote myśli albo wyrzucać z siebie w tej bezpiecznej formie to, co leży mi na wątrobie. Nie jestem jakąś ckliwą paniusią, by pisać pamiętniki, ale... No dobra. Zostawię coś dla potomności. Mam nadzieję, że ten, kto to przeczyta, a zrobi to już po mojej śmierci, wyciągnie wnioski i czegoś się nauczy.

Dobra, no to cofnijmy się do początku...

12 luty 1957 r.

12 lutego 1957 roku, w wielkich bólach i przy akompaniamencie krzyku i przekleństw, wydobywających się z gardła mojej matki, przyszedłem na świat.

„Kochana” mamusia tak naprawdę nie wiedziała, kto jest ojcem jej dziecka, gdyż była, jak by to delikatnie ująć, kobietą do towarzystwa dla panów z wyższych sfer politycznych. A w skrócie pierdoliła się na prawo i lewo za kasę i wpływy. O jej miłości tak bardzo wykrzyczanej podczas porodu (Kurwa nie mogę już... Co za chuj mi to zrobił?! Ja pierdole, wyjmijcie go w końcu ze mnie! Mam dość tego bachora!), dowiedziałem się w dniu moich piętnastych urodzin od proboszcza zakonu, w którym mieszkałem od pierwszych dni mojego życia. Matka, która tak bardzo mnie „kochala”, nie raczyła nawet spojrzeć na to, co jej rozerwało krocze i od razu mnie oddała pod opiekę sióstr zakonnych.

A niech ma za swoje! Może już wtedy czułem, że chce mnie zostawić i zamiast rodzić się normalnie, jak wszystkie dzieci – główką na przód, pokazałem jej dupę. A co? Też mam swoje prawa.

Ksiądz, który się mną zajmował, uznał, że już najwyższy czas, abym poznał prawdę. Nigdy jednak nie powiedział mi, skąd sam to wie. A i mnie tak po prawdzie to nie interesowało. Oczywiście przedstawił całą sytuację troszkę delikatniej i w mniej dosadnych słowach.

Siostra Matylda, zakonnica, która jest dla mnie jak matka i zawsze ma dla mnie czas, nie była zachwycona tym, że

ksiądz powiedział mi prawdę o mojej matce.

Tak. Dwunastego lutego tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego siódmego roku kurwa powiła przyszłego księdza, który miał równie zjebaną głowę, jak ona.

Po umieszczeniu mnie w domu dziecka przy klasztorze nadano mi imię Tadeusz.

Kwiecień 1959 r.

Mam już ponad dwa lata. Siostra Matylda opowiadała mi, że dopiero w tym wieku zacząłem chodzić. Opiekunowie z domu dziecka przy klasztorze zamartwiali się czy przypadkiem nie jestem opóźniony w rozwoju. Wszystkie próby adopcji, przekazania do normalnej rodziny, spełzały na niczym. Mówili mi, że jestem kochany, śliczny, ale dopiero w wieku piętnastu lat mogłem powiedzieć, że wiem czemu, nikt mnie nie chciał. Wyglądam jak pierdolony, nieudany eksperyment Boga. Jak mnie lepił, być może za dużo sobie chlapnął mszalnego wina i coś poszło nie tak, nim tchnął we mnie życie.

Moi przybrani, klasztorni rodzice i tak, mnie kochali. Zawsze miałem ciepło, sucho i co jeść. Chodzić tak naprawdę zacząłem po kilku dniach od drugich urodzin. Wcześniej nawet

nie raczkowałem, tylko pełzałem jak robak. Dobrze, że mnie nikt nie rozdeptał wtedy. Siostra Matylda mówiła, że lubiłem pełzać do kuchni i wydając bliżej nieokreślone dźwięki - coś na kształt połączenia dźwięku odruchu wymiotnego i ekstazy orgazmu, dopominałem się jedzenia lub picia (swoją drogą skąd ona wiedziała, jak brzmi orgazm?). Zawsze coś dostawałem i tak dupa rosła mi coraz bardziej. Szkoda, że nie pamiętam tamtych czasów. Najprawdopodobniej były one najlepszymi dniami w moim całym popierdolonym życiu.

Wrzesień 1965 r.

Mam sześć lat i już coś kojarzę z tego okresu. Co prawda niewiele, jak po zajebistej imprezie takiej, jaką często wyprawia biskup, ale jakieś przeblyski mam.

Idę do szkoły.

Mam śliczny granatowy mundurak i brązowe buty. Pamiętam, że siedziałem pół nocy i czyściłem je woskiem, aby lśniły. By nie było na nich nawet najmniejszej plamki.

No i chuj! Całe moje starania poszły się jebać właśnie w tak ważnym dla mnie dniu. W pierwszym dniu szkoły, kiedy to miało się odbyć pasowanie na ucznia, Bóg sobie

postanowił, że będzie padać. Normalnie ja pierdolę, gorzej chyba nie mogło być.

Po dotarciu do szkoły, gdzie zaprowadziła mnie siostra Matylda, zauważyłem, że od razu wszyscy zwrócili na mnie uwagę. Nie wiedziałem, czy to przez moje ubłocone buty, pingle na nosie, które musiałem nosić, bo bez nich chuja widziałem, czy też przez mój wygląd. Miałem małe oczy, jak u świni, kartoflowaty nos jakbym pizdnął nim o ścianę, ryj pokryty kropkami do łączenia - tyle tych pierdolonych piegów i rude jak marchewka włosy. No urodziwy to ja zbytnio nie byłem i nie jestem.

Inne dzieci przyszły do szkoły z rodzicami. Co prawda ubrane były tak samo, jak ja, ale nie tak „ładne” i „kochane”. Teraz wiem dlaczego te wszystkie małe potwory, jakby się zmówiły, natychmiast odsunęły się ode mnie.

Siostra Matylda powiedziała mi, że nie chciałem tam wracać, bo nawet nasza pani wychowawczyni patrzyła na mnie jakoś tak dziwnie. I nie było to spojrzenie jak u psa na kość.

Nie mogę sobie przypomnieć treści rozmowy z siostrą Matyldą, ale wiem, że ostatecznie przekonała mnie, abym wrócił do szkoły. I skoro Bóg pozazdrościł mi urody, może dał mi coś więcej.

Taa..., pozazdrościł... Kurwa, w ogóle mi jej nie dał!

Ciekawe, o czym myślał, gdy mnie lepił? Może - zrobię go dla żartu?

Pomyślmy... To, że jestem większy od wszystkich, zawdzięczam tylko sobie, gdyż od kiedy zacząłem tylko wydawać dźwięki dopominające się o jedzenie, to jadłem. No i tak zostało, a że dom dziecka przy klasztorze miał także własny chlewik, oborę i ogródek, to na brak jedzenia nigdy nie mogłem narzekać.

Nim poszedłem do szkoły, siostra Matylda już kładła mi do głowy, abym nie przejmował się tym, co mówią o mnie inni i przypadkiem nie rozwiązywał swoich problemów siłą.

Hmm... Tak sobie teraz myślę, że to w pierwszy dzień szkoły może nie zrobiłbym tego, ale każdego kolejnego, tym którzy mi dokuczali tak bym pizdnał, że z kapci by powylatywali.

W szkole wyróżniałem się nie tylko butami, które tak skrupulatnie czyściłem, a i tak chuj to dało, bo były ubłocone, nie tylko wyglądem maszkarona, ale także wzrostem. Byłem od wszystkich wyższy co najmniej o głowę. Dawało mi to pewną psychiczną przewagę, ale te pierdolone kurduple ujaśniały za mną jak ratlerki, a ja kulilem ogon i chowałem się w sobie.

Tak mniej więcej wyglądał mój pierwszy i kilka

kolejnych dni w szkole. Nie było to rozpoczęcie edukacji jak z bajki i bajkowo też nie było.

Wrzesień 1966 – czerwiec 1967 r.

Wszyscy moi „współklasowicze”, bo nie mogę ich nazwać kolegami i koleżankami, dostali promocję do drugiej klasy. I dobrze. Krzyż im na drogę. Niech spierdalają z mojego podwórka.

Ja, jako wybitny uczeń, już w klasie pierwszej zostałem specjalnie nagrodzony przez samego dyrektora placówki oświatowej. Otóż ten buc wręczył mi ponowną nominację do... klasy pierwszej. Nauczony już tego, jak jest w szkole, nie czułem się jagnięciem prowadzonym na rzeź, a raczej lisem w kurniku.

Nowy rok szkolny rozpoczęło nudne przemówienie dyrektora, który pierdolił to samo za każdym razem (staremu chujowi nawet nie chce się nowego przemówienia napisać), a następnie przywitanie przez panią, która będzie nas uczyła przez najbliższe kilka miesięcy.

Sytuacja z innymi uczniami powtórzyła się dokładnie tak samo, jak rok wcześniej – wszyscy krzywo na mnie

patrzyli, a buty były jeszcze bardziej ujebane. Ale nic dziwnego skoro zapierdalałem w nich przez rok i ani razu nie czyściłem. To była pierwsza z wielu rzeczy jaką postanowiłem zjebać Bogu. Bardziej butów ujebać mi nie mógł.

Jednakże zemścił się na mnie w inny sposób. Buty może i nie były bardziej ujebane, chociaż znów padało, ale zapach, jaki się z nich wydobywał odstraszyłby, nawet najbardziej odpornego łapiducha, zazwyczaj jedzącego drugie śniadanie na brzuchu grubasa, który postanowił popływać i zapomniał o oddychaniu.

Bóg vs Tadeusz 2 – 0.

Nie przejmowałem się zbytnio tym zapachem, bo po prawdzie nawet go nie czułem. Zbytnio też nie interesowało mnie to, czy inni go czują. Scenariusz z roku 1965 powtórzył się prawie w całości z tym wyjątkiem, że teraz nie chciałem już opuszczać szkoły i bez skrępowania, gdy ktoś zbyt długo mi się przyglądał, wypalałem mu bez namysłu prosto w gębę - co się gapisz? Chcesz w ryj dostać?

A to, że byłem od nich większy znacznie mi pomagało.

Dopiero w drugiej - pierwszej klasie odkryłem, że mam nad tą bandą przewagę nie tylko fizyczną, ale także intelektualną. Jest jednak coś, czego Szczodroblivy mi nie pozazdrościł, a mianowicie inteligencji.

Powtarzana pierwsza klasa strasznie mi się nudziła. Wszystko, co było mówione, już słyszałem wcześniej. Ala ma kota, kot ma Alę, dwa plus dwa to cztery i tym podobne brednie. Miałem cały rok na przygotowanie się do wojny, którą zamierzałem wytoczyć tej pierdolonej szkole i ją wygrać.

Byłem nad wyraz rozwinięty intelektualnie, jak na swój wiek, ale miałem problem z agresją. Z tego powodu siostra Matylda była wzywana do dyrektora szkoły prawie co tydzień. Na początku rozmowy z nią nie należały do przyjemnych. Mówiła mi, że jestem silniejszy od innych dzieci, mądrzejszy, ale nie mogę tego przeciw nim wykorzystywać, bo to oznaka mojej słabości. Nie potrafiłem tego za chuja ogarnąć.

Skoro ktoś mnie atakuje, jestem od niego silniejszy, a on mimo to porywa się z motyką na słońce, to co? Mam się sam po mordzie łać, aby mu ułatwić życie? Nie wiedziałem jak to interpretować i dalej robiłem swoje.

Dni leciały w szkole jak liście z drzew - długo i monotonnie. Zmęczony trochę już walką z tą hołotą, postanowiłem dać im trochę wytchnienia. Oczywiście nie za długo, aby się nie rozleniwili i wiedzieli, kto rządzi w klasie. Siostra Matylda nie została zaproszona w piątek do dyrektora, ale i tak przyszła. Bardzo mnie to zdziwiło. Po co miała przychodzić do tego starego, wąsatego chuja skoro byłem

grzeczny? Opuściłem bezproduktywne zastanawianie się nad tym i postanowiłem, że drugi tydzień też będę grzeczny. Jak na moje możliwości, oczywiście.

Siostra Matylda, jak na zawołanie, zjawiała się w kolejnym piątku w gabinecie dyrektora. To mnie zaciekało do tego stopnia, że zacząłem ją baczniej obserwować, mimo tego, że miałem wtedy dopiero siedem lat.

Zauważyłem, że zaczęła podśpiewywać, malować się i bardziej o siebie dbać. Już sam makijaż był dla mnie szokiem, bo zakonnice się przecież nie malują. Nie używają tych dziwnych metalowych rzeczy do oczu i nie smarują sobie ust jakimiś farbami. No może robiła to dla siebie? W końcu miała ponad trzydzieści lat i nie była już taka młoda.

Nie mogąc rozwiązać tej zagadki, postanowiłem poczekać pod oknami gabinetu dyrektora, który mieścił się na parterze i sprawdzić, o czym oni tam rozmawiają. To, co wtedy tam zobaczyłem... Hmm... Tak naprawdę nie wiem, co widziałem.

Siostra Matylda klęczała na dywanie zupełnie naga, a dyrektor, z opuszczonymi spodniami i gaciami wykonywał w okolicach jej twarzy dziwne ruchy. Po jakimś czasie ona zaczęła się krztusić i wycierać usta.

Postanowiłem porozmawiać z nią o tym, jak tylko

wróci do klasztoru.

Siostra Matylda była wyraźnie zakłopotana moim pytaniem. Zrobiła się bardziej czerwona niż ta farbka na jej ustach i zaczęła mi coś tłumaczyć o przyjemnościach i jakimś tam uprawianiu miłości. Postanowiłem, że podpytam innych, co to w ogóle kurwa jest. No, ale dzięki temu, że odkryłem ich sekret, którego jeszcze nie mogłem zrozumieć, miałem od teraz bardzo dużo przywilejów w szkole, o których istnieniu wcześniej nawet nie wiedziałem.

Pani na lekcjach już nie pytała mnie o banalne sprawy, a ja mogłem żyć własnym życiem i nikt się mnie nie czepiał.

Tak upłynął mi pierwszy rok w szkole, po którym dostałem nominację do klasy drugiej.

Na rozdaniu świadectw, czerwony jak burak dyrektor wyszeptał mi na ucho zdanie, które pamiętam do dziś: „Tajemnica, której nie wyjawisz działa na twoją korzyść”. Wtedy nie rozumiałem, o co może mu chodzić, ale moje dalsze życie uświadomiło mi, że tajemnice są wiele warte.

Pod koniec mijającego roku szkolnego okazało się, że mam kolegę. Andrzej, bo tak mu było na imię, był kilkakrotnie przeze mnie broniony, w chwilach, gdy zgryza osiłków z trzeciej klasy chciała mu spuścić wpierdol. Nie wiedział, jak miał się odwdzińczyć, więc zakolegował się ze mną. A raczej

łaził za mną niczym pies przy nodze, a ja jakoś nie miałem ochoty go odtrącić.

Andrzej miał normalną rodzinę - ojciec adwokat, matka notariusz. Niczego mu nie brakowało, z czego ja nauczyłem się umiejętnie korzystać. Tak, byłem małym, bezwzględny socjopatą, który wiedział, jak smakuje czekolada, kanapka z szynką, a nawet i pomarańcze. Jednakże najważniejsze w tym wszystkim było to, że w wieku zaledwie siedmiu lat już posiadałem dwóch dłużników – dyrektora szkoły i Andrzeja.

Lato 1967 r.

Po otrzymaniu promocji do drugiej klasy byłem z siebie bardzo dumny i, jak się później okazało, dumni byli także inni. Ksiądz proboszcz przyklasztornego kościoła zaproponował mi nawet, abym służył do mszy. Moja odpowiedź była krótka:

- Nie ma sprawy, proszę księdza.

I tak rozpoczęła się moja kariera ministranta, która pozwoliła mi coraz lepiej poznawać realia życia kleru.

Gdy otrzymałem swoją pierwszą komżę, byłem z siebie naprawdę dumny. Ktoś mnie w końcu docenił i zauważył. Byłem wreszcie kimś ważnym i dostałem na wyłączność

dzwoneczki. Dopóki nie poznałem realiów odprawiania mszy, było mi przez chwilę miło na duszy.

Przychodziłem średnio półgodziny przed mszą, by pomóc proboszczowi w ubraniu się i przygotowaniu kościoła do całej imprezy. Ksiądz proboszcz, jak to zwykle miał w zwyczaju przed mszą, zapalał papierosa marki „Sport” i wlewał sobie do szklanki typu musztardówka spirytusu, którą opróżniał kilkoma haustami. Teraz w wieku piętnastu lat rozumiem, dlaczego wieczorne msze były tak wesołe. Stały rytuał został wzbogacony o kolejną szklankę spirytusu i zamiast jednej były dwie.

Sama msza jak to msza - godzinka i odpajkowane, ale to, co się działo po niej, było najciekawsze. Kościelny po kazaniu chodził z koszykiem i zbierał datki. Potem taca trafiała do proboszcza, który skrupulatnie liczył utarg i zapisywał go w swoim kajeciku. To, co przy tym mówił, sprawiało, że zastanawiałem się nad tym, czy rzeczywiście tak powinno wyglądać powołanie. Przekleństwa typu „kurwy”, „dusigrosze pierdolone” czy narzekania - „jak mam żyć za te grosze? Kurwa przy drodze więcej za jeden numerok bierze niż ja” - były na porządku dziennym.

Proboszcz miał niewielką parafię, w której było nie więcej, jak tysiąc duszyczek. Nie pozwalało mu to na zbytnio

hulaszcze życie, ale zawsze jakieś pieniądze miał i można powiedzieć, że żył ponad stan. Jako jeden z nielicznych miał telefon i samochód. Każdy mu zazdrościł i widząc, jak wystawnie żyje, specjalnie żałował mu grosza na tacę. Nie wiedzieć czemu SB¹ też naszego proboszcza się nie czepiało, chociaż często zajeżdżał na plebanie dziwny, czarny samochód, z którego wysiadali typy spod ciemnej gwiazdy.

Najbardziej jednak zazdrościłem księdzu jego gospodyni. Stary tetryk miał już dobrze po sześćdziesiątce, a gospodynie miał dwudziestokilkuletnią. Co najważniejsze dziewczyna zawsze chodziła kuso ubrana. Wtedy nie zwracałem na to zbytnej uwagi, gdyż liczyło się dla mnie tylko to, że była miła i zawsze potrafiła podrzucić mi jakiś smakołyk z księżowskiego stołu. Dopiero teraz, gdy to wspominam i opisuję, zaczynam rozumieć, czemu służyły krótkie spódniczki i głębokie dekolty, które próbowała zasłonić obszernym fartuchem w wielkie kwiaty, a i tak zawsze kilka guzików było odpiętych.

Gosia, bo tak miała na imię gospodyni, zawsze zwracała się do proboszcza - ojcie. Wszyscy mówili „proszę księdza” a ona uparcie powtarzała „ojcie”. Nie miałem pojęcia, czy był jej ojcem naprawdę, czy tylko postanowiła tak go

1 SB – Służba Bezpieczeństwa

tytułować. W sumie wtedy mało mnie to interesowało i nawet nie wiem, czy interesuje mnie to dziś.

W połowie lata pomagałem przy żniwach u gospodarzy w okolicznych wsiach. Robiłem to trochę dla zabicia czasu i dla samej pomocy. W domu dziecka raczej niczego mi nie brakowało, więc nie musiałem pracować. Z racji tego, że byłem jeszcze młody, ale już dość silny do moich obowiązków należało noszenie snopków słomy do stogu. Praca nie była ciężka i podobała mi się. Na obiad gospodyni dawała nam kartofle z omastą i ze zsiadłym mlekiem.

Kończyły się już wakacje i trzeba było szykować się do drugiej klasy. Patrzyłem z lekką pogardą i obrzydzeniem na te swoje buty i postanowiłem je dokładnie, po ponad roku, umyć w okolicznym strumyku. Buty zresztą były skórzane i zaczynały już trochę uwierać, bo robiły się za małe, ale siostra Matylda powiedziała, że nie ma pieniędzy na nowe buty i muszę jeszcze ten rok wytrzymać w tych. Teoretycznie mógłbym sobie jakieś kupić za pieniądze zarobione przy żniwach, ale postanowiłem ich nie ruszać i głęboko schować. Może jeszcze kiedyś mi się przydadzą na coś potrzebniejszego.

Podczas usuwania rocznego brudu i smrodu z butów w strumyku zaczęła płynąć różnokolorowa smuga. Kurwa – pomyślałem – co na i w tych butach było, że aż tak się mienił

kolorami ten syf? Doszorowanie ich do czysta zajęło mi niewiele ponad dwie godziny. No cóż... Rok na to pracowałem, więc chyba to i tak niewiele. Pomyślałem sobie, że jak pierwszego września znów zacznę padać, to chyba pierdolnę tym buciorem prosto w ołtarz, bo tego to już by było za wiele.

Wieczorem przed pierwszym września miałem już wszystko przygotowane na rozpoczęcie szkoły. Mundurek był uprasowany, buty wyglancowane i nawet dostałem tornister. To dopiero było zaskoczenie. Co prawda był stary i gdzieś tam powycierany, ale nie musiałem już nosić książek spiętych paskiem.

Krótko przed północą przyszedł do mnie ksiądz proboszcz. Usiadł na moim łóżku, stawiając lichtarz ze świeczką na odrapanej szafeczce i zaczął głaskać po głowie. Nie spałem jeszcze i zdziwiony spojrzałem na niego w półmroku. Wyraz jego twarzy był dla mnie obcy i niezrozumiały. Głaskał mnie po głowie tak, jakby chciał mnie utulić do snu. Zachowywał się jak kochający ojciec, ale coś w jego zachowaniu było dziwnego. Zaczął po pewnym czasie dyszeć. Głośno oddychać coraz szybciej i szybciej. Wtedy przypomniałem sobie sytuację z siostrą Matyldą i dyrektorem, wiedziałem już, co jest grane. Szybko spojrzałem w dół, by się

upewnić. Ten stary chuj trzepał przy mnie gruchę. Leżałem jak sparaliżowany, mając nadzieję, że szybko skończy i sobie pójdzie.

Harce proboszcza przerwała Gosia, która zajrzała do mnie, by sprawdzić, czy przypadkiem się nie rozkopałem. Gdy siostra Matylda wyjeżdżała, to właśnie ona brała na siebie obowiązek doglądania mnie i innych dzieci, chociaż teraz w domu byłem tylko ja. Dziewczyna niewzruszona tym, co właśnie zobaczyła, pomogła proboszczowi wstać i wyprowadziła go z mojego pokoju, posyłając mi na odchodnym spojrzenie pełne miłości.

Dlaczego nazywam go zawsze ksiądz proboszcz, a nie na przykład ksiądz Marek? Bo po tym, co zrobił mi tamtej nocy, za chuja nie pamiętam, jak miał na imię. Nie wiem, jak to się stało, ale nie pamiętam jego imienia. Tak po prostu. Pamiętam jego pucułowaty ryj i zapach, ale nie pamiętam imienia.

Gosia po tym, jak odprowadziła proboszcza, wróciła i położyła się obok mnie. Była ubrana w cienką halkę, przez którą było widać bardzo dużo. Pamiętam, jak ochotczo przytuliłem się do jej kształtnych cycków i dopiero wtedy, uspokojony jej oddechem i biciem serca, zasnąłem.

Wrzesień 1967 – luty 1972 r.

Nastał dzień rozpoczęcia drugiej klasy. Z racji tego, że siostra Matylda była oddelegowana do pomocy w innej parafii, do szkoły odprowadzała mnie Gosia. Pogoda tego dnia była śliczna - świeciło słońce i było sucho. Dotarłem do szkoły w wyglancowanych butach. Tak jak chciałem. Mieliliśmy z Gosią trochę czasu na to, by porozmawiać i powiedziała mi wtedy rzecz, która mnie zdziwiła.

– Tadeusz, proszę nie mów nikomu o tym, co miało miejsce w nocy z księdzem proboszczem – poprosiła.

Zastanowiło mnie to bardzo. Dlaczego niby nie miałem o tym nikomu mówić? Nagle przypomniało mi się, co powiedział mi rok wcześniej dyrektor szkoły. Idąc do szkoły nieco pokracznie, gdyż buty cisnęły mnie w palce, zrozumiałem, jak wiele mogę osiągnąć milczeniem.

Rozpoczęcie szkoły przebiegło jak zwykle, czyli nudno. Przemówienie dyrektora, znów to samo jakby się nagrał, po czym pognano nas jak stado baranów do klas. Pani wychowawczynie przedstawiła się ładnie i wręczyła nam plany lekcji, informując przy tym, że zabawa się skończyła i teraz czas na prawdziwą naukę. Jeśli chcemy skończyć szkołę i być kimś ważnym w życiu, musimy zacząć się przykładać do

lekcji.

Pierwszy dzień w szkole minął bardzo szybko. Nawet nie zauważyłem, kiedy skończyła się ostatnia lekcja. Po powrocie do domu dziecka przy klasztorze udałem się pomóc księdzu proboszczowi przy wieczornej mszy. Zawsze w kościele pojawiałem się pół godziny przed rozpoczęciem, ale dziś postanowiłem być znacznie wcześniej by porozmawiać z księdzem.

Gdy zapytałem go o wczorajszą wizytę, spojrzał na mnie jakoś tak dziwnie, ale nie było widać w jego zachowaniu żadnego zażenowania. Nawet lekko się uśmiechał, lecz nic nie wyjaśnił. Zrezygnowany spojrzałem wtedy na swoje buty i poinformowałem go, że są dla mnie już za małe i potrzebuję nowych, a siostra Matylda twierdzi, że nie ma pieniędzy na ich zakup. Proboszcz najwyraźniej zrozumiał od razu moje intencje, gdyż bez najmniejszego wahania zaproponował, że kupi mi nowe buty i osobiście mi je przyniesie. Nie miałem nic przeciwko temu. W końcu osiągnąłem swój cel i będę miał nowe buty. Wtedy jednak nie wiedziałem, jak bardzo będą mnie one kosztowały.

Proboszcz tak jak, obiecał przyniósł mi nowiutką parę skórzanych butów wprost do mojego pokoju. W jego oczach było coś, czego wtedy nie rozumiałem. Dziś już wiem, że

spojrzenie proboszcza było lubieżne. Od starszych kolegów dowiedziałem się co to seks, fiut i cipa i że robi się to tylko z kobietą. Nie wiedziałem dlaczego, ksiądz pokazuje mi swoje klejnoty. Czyżby dlatego, że nie mógł mieć żony?

Na początku tylko mnie głaskał po głowie i dziwnie dyszał. Jednakże z dnia na dzień, z tygodnia na tydzień posuwał się coraz dalej, aż w końcu doszło do tego, że zaczął mnie głaskać po penisie i jądrach. Siostra Matylda nie reagowała, no to bo o niczym nie wiedziała, a ja bałem się jej cokolwiek powiedzieć z obawy przed tym, iż proboszcz zabierze mi buty. Za to znacznie lepszy kontakt miałem z Gosią, której postanowiłem o wszystkim opowiedzieć.

O ekscesach proboszcza powiedziałem jej dopiero w momencie, gdy zaczął dobierać się do moich majtek. Była tym bardzo wstrząśnięta i nie wiedziała, co ma powiedzieć. Chyba nawet widziałem w jej oczach łzy. Zapewniła mnie, że proboszcz na pewno nie zabierze mi tych butów i zapytała, czy podoba mi się to, co robi. Szybko zaprzeczyłem, więc wymyśliła pewien ciekawy fortel, który miał sprawić, że proboszcz ze swoimi zboczeniami odpierdoli się ode mnie raz na zawsze.

Tego samego dnia położyłem się wieczorem do łóżka i leżąc praktycznie bez ruchu czekałem na tego starego

zboceńca. Bez względu na okoliczności czułem się tak jakoś dziwnie lekko i było mi niesamowicie wesoło. Jak nigdy przed jego przyjściem. Nie minęła godzina, gdy błądy promyk świecy rozświetlił jego obleśny ryj. W drugiej ręce trzymał jakiś pakunek. Zapewne był to kolejny prezent dla mnie, bo głaskanie przestało już mu wystarczać i zamierzał posunąć się dalej. Tak jak poradziła mi Gosia, udawałem, że śpię. Ten stary zboczeniec podszedł do mnie i od razu włożył rękę pod koc, by zacząć dobierać się do moich majtek. Tej nocy zamiast jego wzdychania i stękania, które słyszałem tylko ja, rozległ się przeraźliwy wrzask. Przypominał on trochę jęk szlachtowanej świni. No świnią to był on na pewno. Pierdolony stary zbok. Zamiast znaleźć pod kocem mojego fiutka, znalazł starą, zardzewiałą, ale jeszcze dość solidną, pułapkę na myszy radzieckiej produkcji. Wyrwał rękę spod koca z prędkością, o jaką go nie podejrzewałem. Nie wiedziałem, że potrafi tak szybko się poruszać, gdyż zawsze robił wszystko flegmatycznie jak stary ślimak. Nawet pierdział powoli, jakby spuszczał powietrze z balonu.

Staruszek wybiegł z mojego pokoju i więcej się w nim nie pojawił.

Ta sytuacja przybliżyła mnie jeszcze bardziej do Gosi.

Praktycznie do 12 lutego 1972 roku, czyli do moich

piętnastych urodzin, nie wydarzyło się w moim życiu nic tak ciekawego, co zasługiwałoby na to, by o tym pisać. W szkole dni mijały mozolnie, a wakacje zbyt szybko. Jednakże zawsze najjaśniejszym momentem dnia był powrót do domu. Do Gosi.

12 luty 1972 r.

Moje piętnaste urodziny. Dostałem wiele podarków od kolegów i koleżanek ze szkoły. Tak, nagle stałem się lubiany, chociaż miałem problemy ze złością i dość często wdawałem się w bójki. Jednak dwa najlepsze prezenty urodzinowe czekały na mnie w domu. Pierwszym, otrzymanym praktycznie po przekroczeniu progu klasztoru, była informacja od siostry Matyldy, iż naszego księdza proboszcza Pan wezwał do siebie. Na mojej twarzy pojawił się szeroki uśmiech radości. Nareszcie ten stary zboczeniec zdechł. Siostra Matylda zdziwiona moją reakcją na wieść o śmierci księdza wcisnęła mi do ręki coś twardego, opakowanego w szary papier ze słowami, iż to jest lek na mój ból duszy, po czym pośpiesznie odeszła. Tak oto wszedłem w posiadanie tego kajetu, w którym obecnie bazgrzę i przelewam na kartki swój „ból duszy”, a raczej bardziej to, co leży mi na wątrobie.

Czułem się wspaniale. Cały dzień chodziłem w skowronkach. Przypominałem sobie, jak księżulo spierdalał z mojego pokoju z palcami przytrzaśniętymi w pułapce na myszy. Tak się uśmiełem, że aż mnie brzuch rozboleł.

Nastał w końcu bardzo zimny wieczór. Z powodu śmierci proboszcza nikt nie dopilnował pieca. Wszyscy pogrążeni w modlitwie za jego zboczoną duszę nie zwracali sobie głowy tak przyziemną sprawą, jak pilnowanie ognia i dokładanie drzewa. Ja też miałem na to wyjebane. Od jakiegoś czasu posiadałem grubą pierzynę, w którą szczelnie się zawijałem, dzięki czemu było mi naprawdę ciepło. Jednakże mimo tego, że nie marzłem, nie mogłem spać tej nocy. Ciągle przypominałem sobie jakie okropieństwa mi robił ten stary klecha. Próbowałem wymazać je z pamięci, ale wryły się zbyt głęboko. Ilu było jeszcze takich jak ja, tego się już nie dowiem.

Życzyłem mu w duchu, aby przeżywał wieczne katusze w czeluściach piekieł, którymi ciągle nas straszył. Wyobrażałem sobie jak stoi na Sądzie Ostatecznym przed Bogiem i tłumaczy się ze wszystkich swoich grzechów. Jak się kaja. Jaki jest tyci.

Te wyobrażenia były tak realistyczne, iż przez moment widziałem siebie w roli Boga i to jak wtrącam go do piekła na wieczne potępienie.

Okolo północy do mojego pokoju przyszła Gosia ubrana w długi, skórzany płaszcz i z butelką wina oraz dwiema szklankami w dłoniach. Bez słowa nalala nam po pełnej szklance alkoholu. Nawet nie pamiętam, o czym rozmawialiśmy. Minęła może godzina albo dwie, gdy Gosia powiedziała mi, że jest jej zimno i zapytała, czy może wejść do mnie pod pierzynę. Czekałem na to bardzo długo. Od zawsze mi się podobała, ale dopiero niedawno zrozumiałem, że spoglądam na nią jak na kobietę, nie jest to zwykła koleżanka, zresztą, których miałem teraz na pęczki. Zdjęła gruby, skórzany płaszcz i szybko wślizgnęła się do mojego łóżka.

Spałem na jednoosobowej pryczy, więc abyśmy się wspólnie pomieścili, musieliśmy położyć się na boku. Gosia leżała na skraju łóżka, a ja przykleiłem się do ściany. Między nami była wolna przestrzeń, w której hulał wicher pożądania. Leżeliśmy tak jakąś chwilę, gdy poprosiła, abym się do niej przytulił, bo nadal jej zimno. Nie zastanawiałem się długo. Przysunąłem się do niej bliżej i przytuliłem. Najpierw trochę jak do jeża, nie bardzo wiedząc, co mogę zrobić z rękoma, ale po chwili objąłem ją w okolicach kształtnego biustu. Nie wykonywałem żadnych zbędnych ruchów. Tylko ją tuliłem.

Gosia przysunęła się jeszcze bliżej, wypinając tyłek w moją stronę. Zdębiałem, gdyż nie bardzo wiedziałem co mam

zrobić. Znaczy się wiedziałem, na co mam ochotę, ale bałem się, że ucieknę, gdy wykonam jakikolwiek ruch. Czułem jak mój fiut, robi się coraz twardszy, a na twarzy pojawia się gorący rumieniec wstydu, bo na pewno czuła jak ją coś uwiera w pośladki. Nie przejmowała się tym zbytnio, a nawet chyba jej się to podobało, gdyż zaczęła powoli ruszać swoim tyłeczkiem, ocierając się o moją coraz twardszą męskość. Złapała moją rękę i przesunęła ją wyżej w okolice sutka. Zacząłem powoli głaskać jej piersi, drażniąc brodawki. Najpierw jedną, później drugą. Czułem, jak pod jej koszulą twardnieją i robią się coraz większe. Nie wiem, kiedy jej ręka znalazła się w moich slipkach i ile było zdziwienia w jej oczach, kiedy złapała moją pałę. To była kolejna rzecz, której miałem w nadmiarze. Kilka jej sprawnych ruchów i ciepła maź wylądowała na jej ręce. Nie wiedziałem, czy bardziej czułem wstyd, czy przyjemną błogość. Chciałem coś powiedzieć, przeprosić, gdyż z opowiadań wiedziałem, że nie tak to miało wyglądać, lecz Gosia tylko mnie przytuliła i oznajmiła ze śmiechem, iż nie mam się przejmować. U mężczyzn początki zawsze są takie, że rozleją, nim doniosą.

To był pierwszy prezent od niej. Z drugim i kolejnymi już się tak nie śpieszyliśmy. Tej nocy poznałem smak seksu z kobietą.

Marzec 1972 – lipiec 1972 r.

Od dnia moich urodzin Gosia odwiedzała mnie coraz częściej. Zacząłem myśleć, że chyba zamieszkaliśmy razem. Jej rzeczy zaczynały być wszędzie. Oczywiście zawsze przed snem uprawialiśmy seks. Kładła się obok mnie na łóżku i wypinała się w moją stronę, a ja w nią wchodziłem.

Pewnej nocy zapytała mnie, czy nie chciałbym czegoś zmienić w tym naszym rytuale. Nie wiedziałem, o co jej może chodzić, ale i tak pozwoliłbym jej na wszystko. I pozwoliłem.

Kazała mi się położyć na plecach i zaczęła całować. Jej sprawny język schodził coraz niżej i niżej, aż natrafił na moją twardą męskość. Bez wahania objęła go swoimi wargami i wsunęła do gorących ust, po czym zaczęła poruszać głową w górę i w dół. Podobało mi się to bardzo i prosiłem w duchu, by nie przestawała, a ona najwyraźniej nie miała takiego zamiaru. Jej wargi zaciskały się coraz mocniej, a język drażnił dodatkowo podbicie penisa, który był twardy jak skała. Złapałem ją wtedy za głowę i delikatnie przyciągałem bliżej, by zmieściła do buzi jak najwięcej. Spojrzenie, jakie mi posłała, zmroziło mnie do cna. Było w nim coś wyzywającego,

ale także i niepokojącego. Nie znałem Gosi od tej strony. Pozwoliła mi na to, abym mocniej wpychał fiuta do jej buzi. W momencie, gdy nie mogłem już wytrzymać, chciałem dać jakiś znak, że zaczynam szczytować i się odsunąć, ale nie dała mi takiej możliwości. Wiedziała, że jestem blisko szczytu, zaczęła poruszać głowę jeszcze szybciej i głębiej brać do buzi. W końcu po raz pierwszy, z głośnym okrzykiem, spuściłem się kobiecie do ust. Gosia zakaszła, jakby się zakrztusiła, ale nie przestawała pracować wargami i językiem, dopóki całkowicie mnie nie wylizała, a ja opadłem z sił.

Cała zabawa z Gosią trwała jakieś pięć miesięcy. Spędzaliśmy ze sobą dwie, trzy noce w tygodniu. W lipcu zaczęła przychodzić do mnie niemal codziennie. Nastąpiła jednak noc kiedy nie przyszła.

Sierpień 1972 r.

Siostra Matylda nie mogła mnie już dłużej oszukiwać i ukrywać prawdy. Wystarczająco długo moje pytania pozostawały bez odpowiedzi, o to, gdzie jest Gosia, którymi bombardowałem ją po kilkadziesiąt razy dziennie.

Pewnego sierpniowego i bardzo upalnego dnia zabrała

mnie na cmentarz, pokazała grób. Powiedziała tylko tyle, że odebrała sobie życie niecały miesiąc temu, tuż po tym, gdy dowiedziała się, że jest w ciąży.